

marLO
SCHaLesKY

Po Tam.Tej
STronie
nocy

PrzeKŁaD
KaTarZYna WYDra



LaBirYntY
KOLeKcJA ProZY

wYDawnicTwo wam
KraKów 2009

Tytuł oryginału
BEYOND THE NIGHT

Originally published in English under the title:

Beyond the Night by Marlo Schalesky

Copyright © 2008 by Marlo Schalesky

Published by Multnomah Books

an imprint of The Crown Publishing Group

a division of Random House, Inc.

12265 Oracle Boulevard, Suite 200

Colorado Springs, Colorado 80921 USA

All non-English language rights are contracted through:

Gospel Literature International

P.O. Box 4060, Ontario, California 91761-1003 USA

This translation published by arrangement with
Multnomah Books, an imprint of The Crown Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

Polish edition © 2009 Wydawnictwo WAM

Redakcja: Zofia Palowska

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki: Andrzej Sochacki

Logo serii: Sebastian Stachowski

ISBN 978-83-7505-453-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 012 62 93 200 • faks 012 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 43 03 210

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej

KSIĘGARNI INTERNETOWEJ

<http://WydawnictwoWAM.pl>

tel. 012 62 93 260 • faks 012 62 93 261

wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa:

Drukarnia DIMOGRAF • Bielsko-Biała

Prolog

Mówią, że to się nie zdarzyło. Twierdzą, że nie mogło. Według niektórych to był sen. Inni uważają mnie za nieoprawną romantyczkę. Jednak wiem, co tak naprawdę myślą: że zwariowałam. Że to wszystko przez cierpienie. Zmyślam historie, aby poradzić sobie z bólem.

Ale ja nie cierpię. Już nie. A mój ból jest tylko pojedynczą nutą w symfonii spokoju, który odczuwam, gdyż znam prawdę. Byłam tam tamtego dnia. Przyglądałam się, jak wyciągała do niego rękę. Słyszałam jego głos w ciemnościach. Widziałam, jak się kochają: Paul i Maddie. Więc nazywajcie mnie szaloną, skoro już musicie. Ja i tak znam siłę miłości. Ujrzałam jej tajemnicę. Zobaczyłam jej blask.

Jeżeli wątpicie, chodźcie ze mną. Udamy się między cienie czasu, aż do jego początku. Będzie zimna noc. Ciemność. A po drugiej stronie nocy... cóż, chodźcie i przekonajcie się.

Paul ścisnął mocniej kierownicę forda pinto, który wjechał właśnie w zakręt górskiej drogi. Deszcz padał obfitymi strugami, które rozbijały się o maskę samochodu oraz asfalt. Szuranie wycieraczek wyróżniało się na tle miarowego bębnienia wody o metal.

To szaleństwo. Powinniśmy zawrócić. Paul spojrział na żonę, która drzemała na siedzeniu obok. Maddie oddychała

głęboko z zamkniętymi oczami. Z jej otwartych ust dobywało się chrapanie.

Paul uśmiechnął się. Maddie złościła się, kiedy mówił jej, że chrapie.

– Wcale nie – odpowiadała. – To tylko głośny oddech.

Głośny na tyle, że nie tłumił go odgłos deszczu. Oczywiście Maddie nigdy mu nie wierzyła. Kiedyś zamierzał ją nagrać. Na myśl o tym wybuchł zduszonym chichotem. Nigdy by mu tego nie wybaczyła. Przynajmniej do momentu aż podarowałby jej bombonierkę Hershey's – z migdałami. Lubiła tylko taką czekoladę.

Deszcz wzmógł się do tego stopnia, że jego dźwięk przypominał teraz bombardowanie. Paul pochylił się lekko w przód i wpatrzył w ciemność. Przednie światła samochodu tworzyły na asfalcie żółte kółka, w których rozbłyskiwały niezliczone krople deszczu. Potarł oczy. Nie był w stanie dostrzec ani pasa dzielącego jezdnię, ani wyznaczającego pobocze. A także drogi rozciągającej się za zasłoną z milionów diamentów spadających z nieba.

Chrapanie ucichło.

– Jesteśmy już na miejscu? – Pytanie Maddie odbiło się od szumu wody w tle.

– Jeszcze nie. – Kciuki Paula zbieleły na kierownicy. – Spóźnimy się.

– A nie mówiłam?

Żartobliwy ton jej głosu sprawił, że nieco się rozluźnił.

Zerknął na żonę. Kilka kosmyków jej rudych włosów błyszczało w słabym świetle. Na jej ustach pojawił się uśmiech, nadając im kształt uroczej podkówki, którą tak kochał.

Paul wyciągnął do Maddie rękę i odgarnął włosy z jej policzka.

– Pośpij jeszcze chwilkę, mądralo. Kiedyś nas tam w końcu dowiozę.

– Za głośno, aby spać – Maddie uniosła głos w udawanym krzyku. – Ten deszcz przypomina koncert jakiegoś okropnego zespołu rockowego.

– Po prostu potrzebujesz odpowiedniej muzyki. – Paul włożył kasetę do odtwarzacza umieszczonego na tablicy rozdzielczej auta.

– Tylko nie ta kasetka. Nie po raz kolejny – jęknęła Maddie.

– A co innego byś sobie życzyła?

Rozległ się gitarowy riff. Chwilę potem dołączył do niego wokół wyśpiewujący historię smoka Puffa the Magic Dragon, którego nie odwiedza już chłopczyk Jackie Paper². Paul wtórował zespołowi, dodając kolejny ton do kaskad dźwięków.

– Znasz tę piosenkę o marihuanie, prawda? – Maddie sięgnęła do pokrętki głośności.

– Miejska legenda. Nie da się jej udowodnić. – Paul wybijał na kierownicy rytm utworu. – Ponadto nasza córka się ze mną zgadza.

– Mandy ma dopiero pięć latek.

– Właśnie. Pięciolatki wszystko wiedzą najlepiej.

Paul zaczął śpiewać jeszcze głośniej, a Maddie wybuchła śmiechem. Jej mąż towarzyszył zespołowi przez całą zwrotkę, aż w końcu ucichł, a ona wreszcie była w stanie usiąść prosto. Dotknęła szyby.

– Wyłącz to, Paul.

– Aj, to dlatego, że nie lubisz Puffa.

– Nie, naprawdę.

Nachyliła się i ścisnęła jego ramię.

– Posłuchaj tego deszczu. Pada tak mocno, że szyby drżą. Może powinniśmy przystanąć.

² Piosenka zespołu Peter, Paul & Mary z 1963 roku (przyp. tłum.).

– Za chwilę zaczyna się prosty odcinek drogi. Jeszcze dziesięć minut i będziemy na miejscu – Paul poprawił ręce na kierownicy.

– Obiecujesz?

– Nie. Może potrwa to kwadrans. – Kiedy ford pinto zbliżył się do kolejnego zakrętu, Paul zredukował bieg.

Samochód gwałtownie przechylił się na bok. Opony wpadły w dziurę na drodze, zachlapując wodą maskę i szyby forda. Wycieraczki szybko sobie z nią poradziły, odsłaniając na krótki moment jelenia, który stał pośrodku drogi w kręgu światła.

Zwierzę zamarło w bezruchu. Wyglądało jak wyciosane z kamienia. Jego oczy były szeroko otwarte.

Paul krzyknął. Zapiszczały hamulce. Pinto nagle skręciło w prawo. Paul odbił kierownicą w lewo. Opony pośliznęły się po żwirze. Auto wypadło z drogi prosto na drzewa.

Gałęzie objęły boki samochodu i dostały się do jego wnętrza razem z wodą, liśćmi i szkłem. Paul zasłonił ramieniem Maddie. Przed oczami błysnął mu pień sosny.

Samochód uderzył.

Mężczyzna dostał kierownicą w pierś. Tablica rozdzielcza wpadła na niego, niosąc ze sobą maleńki, barwny kwadracik.

Paul z przerażającą jasnością umysłu poskładał kolorowe plamy w kształty i rozpoznał polaroidowe zdjęcie, które dawno temu tam przykleił. Mała dziewczynka z warkoczycami. Jeden kącik ust uniesiony w uśmiechu. I słowa nagryzmolone poniżej dziecięcym pismem. Nie musiał czytać, aby przypomnieć sobie ich treść.

Jedź ostrożnie, tatusiu.

Wnętrze Maddie wypełniała ciemność. Czerń, przypominająca wielką falę, która pochłaniała i zatapiała, a ona nie mogła zaczerpnąć oddechu pod wpływem ciężaru wody. Fala zalewała jej umysł, rozlewała się po plecach i wciągała pod lodowatą masę. Maddie próbowała walczyć... i przegrywała. Zanurzała się coraz głębiej w ciemność. Aż jej świat zniknął, zamieniając się w czarną rzekę rwącego bólu.

Pomocy... Słowa rozlegały się w jej wnętrzu – niewypowiedziane, a jednak tak prawdziwe. Były jak bezgłośny płacz przypominający delikatną mgiełkę nad wodą, która migocze, a potem nagle znika. Czy ktoś ją słyszał? Czy ktoś wiedział? Czy po drugiej stronie nocy był ktoś, kto mógł dosłyszeć jej wołanie? *Pomocy. Nie zostawiaj mnie samej. Proszę...*

Mijały sekundy. Trwała cisza. Wdech. Wydech.

Nagle w mrok wdarł się głos. Pojedyncze słowo dobiegające z zewnętrznego świata. Pojawiło się niczym nieśmiały promyk światła tańczący na falach.

– Maddie...

Jestem tutaj.

Jedno słowo. A wraz z nim nadzieja.

Nie jestem sama.

Woda cofnęła się. O kilka centymetrów.

– Obudź się. Przyjechałem zabrać cię do domu.

Ciemność zawirowała, pękła, a następnie przybrała znajomy, szary odcień. Maddie znów mogła oddychać, pewnie i spokojnie.

– Słyszysz mnie, Maddie? – głos tulił ją, kołysał swoim ciepłem.

Słyszę cię. Sformułowała odpowiedź w myślach, ale nie mogła jej wykrztusić. *Zostań ze mną.*

– Chodź do mnie. Pamiętaj.

Nie mogę.

Cisza. Przerażająca, okropna cisza.

Proszę... Nie zostawiaj mnie... Obiecałeś...

Szpitalna sala wydała się Paulowi bardziej ponura niż widok wiecznie zasnutego mgłą Monterey. Wilgotno. Szaro. Zimno i niezachęcająco. To było wspomnienie z życia, zanim nauczył się śmiać i kochać, mieć nadzieję i marzenia. Tamte emocje wróciły pod wpływem szpitalnej scenerii: migoczące fluorescencyjne światło, duszący zapach środków odkażających i ukochana kobieta na łóżku przed nim. Jego wizja rozmazała się.

– Maddie...

Imię padło i zniknęło zagłuszone przez buczenie lamp oraz ciągły sygnał elektrokardiografu. Paul siedział tutaj już bardzo długo. Do sali raz po raz zaglądali lekarze i pielęgniarki, mierzyli jego żonie ciśnienie, zapisywali coś na karcie. Prawie nie zauważał, jak się zmieniali, ani że na zewnątrz dzień przechodził w wieczór. Nie rejestrował kolejnych dyżurów. Nie spostrzegł, że skończyły się godziny odwiedzin. Ale nikt nie poprosił go, aby wyszedł. Nie dzisiaj. Ponieważ z Maddie było znacznie gorzej, tylko nikt nie mówił tego głośno.

Zapowiadała się długa noc. I nic nie mogło zmusić Paula do zostawienia żony samej.

Więc siedział przy jej łóżku, obserwując przezroczyście rurki tłoczące cały czas kroplówkę. Przyglądał się, jak pierś

Maddie unosi się i opada. Patrzył na mgłę zasnuwającą szalenie kalifornijskie niebo. Minęło tyle czasu, ale nic się nie zmieniło.

Na korytarzu skrzypiały kółka noszy, dzwonił intercom, rozbrzmiewał stukot przechodzących stóp, który po chwili cichł. Jednak w tym niewielkim pomieszczeniu życie balansowało na granicy ciemności.

Jak do tego doszło? Do szpitalnego łóżka, podniszczonego krzesła i oceanu ciszy, jaka wisiała między nimi? Wszystkie te lata. Cała jego miłość. Wspomnienia z przeszłości. Wszystko to skupiało się w tej jednej kobiecie – bladej, kruchej, pomarszczonej, tak różnej od energicznej, pełnej życia dziewczyny, która podbiła jego serce.

Leżała przed nim z zamkniętymi oczami, jej oddech był nierówny, a ciemne rzęsy ocieniały policzki. Na czoło zaplątał się pojedynczy kosmyk włosów, wilgotnych od potu, matowych. Policzki przykrywały rurki; ręce miała skrzyżowane na piersi. Wdech. Wydech. Z jej ust, niegdyś czerwonych, a teraz w kolorze popiołu, wydobywał się charkot.

Dlaczego musiało tak być?

– Maddie...

Czy mówił na głos? Nikt nie słyszał. Czy ona słyszała? Czy mogła go słyszeć?

Paul pochylił się do przodu. Wyciągnął rękę w kierunku żony. Gdyby tylko mógł chwycić jej dłoń i wyciągnąć z ciemności, w którą odpłynęła. Ale nie był w stanie jej dotknąć. Jeszcze nie. Była zbyt krucha, jej życie wisiało na zbyt wątłym włosku.

– Obudź się. Przyjechałem zabrać cię do domu.

Ale Maddie nie reagowała.

– Słyszysz mnie, Maddie?

Czy to było westchnienie? Czy jej palec drgnął? Ciało Paula przebiegł dreszcz.

– Wróc do mnie.

Już czas. Wróc z ciemności. Pamiętaj. Czekał. Sekundę. Wieczność. Był tak blisko. Prawie udało mu się do niej dotrzeć.

Rozległ się skrobot pióra. Zaskrzypiały buty.

Paul wyprostował się.

Do przeciwnego końca łóżka podeszła pielęgniarka w błękitnym uniformie.

– Kontrola ciśnienia krwi.

– Znowu? – Paul wstał i odsunął się od krzesła.

Kobieta zacisnęła usta i nic nie odpowiedziała. Sprawdziła poziom płynów w rurkach, owinęła pas ciśnieniomierza wokół ramienia Maddie i zerknęła w kierunku, gdzie stał.

Paul westchnął.

Pielęgniarka zmarszczyła czoło i odchyliła rękę z piórem. Paul odskoczył.

– Och. Ups.

Stanął naprzeciwko elektrokardiografu.

– Ciśnienie w porządku – kobieta sprawnym ruchem przekręciła pióro i zapisała coś w papierach. Następnie odwróciła się i zatrzymała. Przez chwilę głaskała ramię Maddie. Jej głos złagodniał, najwyraźniej rozumiała, jak trudna dla pacjentki będzie ta noc.

– Trzymaj się. To nie potrwa długo.

Jej słowa przeleciały przez umysł Paula.

Kobieta zakręciła zatyczkę pióra, potrząsnęła głową i wyszła z sali.

Paul wpatrywał się w miejsce na ciele Maddie, którego przed chwilą dotykała pielęgniarka. Jej ręka wydawała się tak blada na tle bieli prześcieradeł. A skóra tak cienka, że sprawiała wrażenie przezroczystej. Była delikatna, wiotka. Jednak pieprzyk u nasady kciuka nadal był widoczny, przy-

pominając mu, że pewne rzeczy nie uległy zmianie. Niektóre były wieczne.

Paulowi zrobiło się cieplej na sercu. Być może, chociaż jeden jedyny raz, będzie mu dane jeszcze kiedyś pocałować ten pieprzyk. Pierwszy raz zrobił to wiele lat temu. Jej ręce były wówczas silne, młode i opalone. Ale pieprzyk był taki sam jak dziś. Uśmiechnął się. Pocałunek tak naprawdę był wygłupem. Zwykłą psotą. Ale ciągle ją pamiętał. Prosty gest, który wszystko zmienił. Przynajmniej w jego życiu.

– Pamiętasz? – mówił na głos, choć wiedział, że Maddie nie może go słyszeć, że wciąż jest zbyt daleko, by rozumieć.

– Tamtego ranka padał deszcz, a potem wyszło słońce.

Odpowiadał mu jedynie ciągły sygnał EKG.

Ściszył głos.

– Chodź, Maddie, powspominaj ze mną. Przypomnę ci dzień, w którym się w tobie zakochałem.

Palo Alto, 1973

Paul uderzył rakietał małą, niebieską piłeczkę. Piłka trafiła w ścianę przed nim, odbiła się i pognąła w przeciwległy narożnik sali.

Maddie pobiegła w lewo. Zwolniła, zrobiła kilka kroków w tył i podskoczyła.

Paul zgiął ciało, przygotowany do odbioru.

Powietrze zaświstało między strunami rakiety, kiedy Maddie o dobre dziesięć centymetrów chybiła, usiłując odbić piłkę.

Paul odprężył się.

Maddie uderzyła ramieniem w ścianę. Piłka podryblowała do narożnika.

– Wszystko gra? – Paul wytarł czoło opaską na nadgarstku. – Nie poszło ci na ostatnim egzaminie z chemii czy coś w tym stylu?

- A co ty wiesz o egzaminach?
- Na szczęście niewiele. Minęło od nich kilka lat. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.
- Cóż, może gdybym miała superpracę w laboratorium dużej firmy farmaceutycznej, też mogłabym stroić sobie żarty z twoich egzaminów – skrzywiła się Maddie.
- Wierz mi, dobrze płacą. – Paul podrzucił piłkę.
- Bla, bla, bla. Ja chyba jestem skazana na zostanie lekarzem... pewnego dnia – wywróciła oczami.
- Paul zachichotał.
- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.
Stare porzekadło. I niezbyt pasujące do okoliczności.
- Dalej, serwuj – powiedziała.
- Jesteś tego pewna? – Paul jeszcze raz podrzucił piłkę.
- Nie.
- A więc masz. – Chłopak uderzył rakieta w piłkę. Odbiła się od ściany i pognąła w jej kierunku. Dziewczyna podskoczyła. I chybiła. Kolejny raz.
- Twój serwis. – Maddie pokręciła rakieta, a potem zaczęła nią luźno machać. – Naprawdę? Już cztery gemy?
- Chyba pięć – wzruszył ramionami Paul. – Kto liczył?
- Ty. I nie udawaj, że tak nie było. – Oparła dłonie na biodrach.
- Paul uśmiechnął się, zrobił kilka kroków i podniósł z ziemi piłkę. Położył ją na swojej rakiecie i precyzyjnymi ruchami zaczął podbijać.
- Chcesz spróbować jeszcze raz? – Rzucił jej piłkę.
- Pozwoliła, by upadła.
- Wiszę ci już pizzę, kino, popcorn i colę. Jak tak dalej pójdzie, będę całkiem sflukana.
- W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że to tylko pech. Ale...

– Dalej, powiedz to – Maddie wpatrzyła się w niego.

– Cóż, sama musisz przyznać, że grasz dziś fatalnie – jego głos przeszedł w szept. – Naprawdę fatalnie. Nie da się winić za to letniej sesji.

– Dzięki.

– Więc co jest nie tak?

– Nie wiem. Mam wrażenie, jakby piłka rozplywała się, zanim ją uderzę.

Paul wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy. Uwielbiał to robić. Jej rozpuszczone, krótkie loczki elektryzowały się i stawały na baczność, gdy zrobił to odpowiednio energicznie.

– Nie wspominałem ci? To moja nowa sztuczka.

Maddie roześmiała się i uderzyła go po ramieniu.

– Daj spokój, skończmy, skoro tak przegrywam.

– I to sromotnie.

– Przestań się nabijać.

Paul objął ją ramieniem i odwrócił w kierunku szklanej ściany za nimi. Po drugiej stronie widać było blondynkę w jaszkrawoczerwonych spodenkach. Dziewczyna była zupełnie inna niż Maddie. Tamta była wysoka i smukła, a Maddie, cóż, średniego wzrostu. Mierzyła około 176 centymetrów i nie była ani szczególnie szczupła, ani krępa. Coś pomiędzy. Dobrze zbudowana i jakby stworzona do gry w raquetballa. Dziś jednak wyjątkowo sobie nie radziła.

– Jest nowa – Paul zamilkł na chwilę.

– Masz na myśli, że jeszcze nie zdążyłeś się z nią umówić? Wygląda na to, że nie jestem jedyną osobą, której gra dzisiaj nie poszła.

– Jeszcze długi dzień przed nami, koleżanko. – Paul zebrał rakieta piłkę z podłogi.

– A co się stało z dziewczyną, którą poderwałeś pod aparatem z napojami? – Maddie potrząsnęła głową.

– Chyba uznała mnie za zbyt uprzejmego i dobrze wychowanego – Paul otworzył drzwi sali przed Maddie i przepuścił ją przodem.

– O tak, jasne. Jesteś niezmiernie dobrze wychowany – w jej głosie pojawiła się kpiarska nuta.

– Cały czas chichotała i gadała o Bee Gees. Zachowywała się jak czternastolatka. – Paul wyciągnął ręcznik z torby i wytarł kark.

– Miała dziewiętnaście lat. I wszyscy wiedzą, że jest wielką fanką Bee Geesów.

– Cóż, gdybyś powiedziała mi wcześniej, zaoszczędziłbym trochę grosza na kolacji. Odbiję sobie za to na tobie.

– Biedny chłopczyk. Przypominam sobie, jak mówiłeś, że wszystkie dziewczyny jedzą tylko sałatki. Ile to cię mogło kosztować? – Maddie wsunęła swoją rakieta w pokrowiec.

– Skoro już mówimy o jedzeniu. Najpierw poproszę o moją pizzę, a potem o kino. Właśnie wchodzi nowy 007.

– Tylko nie nowy film z Bondem – skrzywiła się Maddie.

– Jak wygrasz, będziesz miała szansę dokonać wyboru. Dzisiaj idziemy obejrzeć, jak radzi sobie... Bond. James Bond – Paul udał angielski akcent.

– Bond jest ponoć Szkotem.

– To już przeszłość.

– Chyba nie płaczesz ciągle, że Seana Connery’ego zastąpił Roger Moore? – Maddie uśmiechnęła się krzywo.

– Trudno tu mówić o zastąpieniu. To raczej degradacja.

– Zobaczymy. Twoja randka chyba ucieka.

– Co?

– Blondyna.

Paul zerknął na jasnowłosą dziewczynę. Była ładna. Ale trochę za chuda. A jej oczy nie błyszczały. Wyglądała na znużoną. I nudną. Mógł się teraz odwrócić i zapomnieć o całej

sprawie. Ale Maddie go obserwowała. Wyprostował się więc i ruszył w kierunku nieznajomej. Po trzech minutach wrócił do koleżanki i zdał jej relację.

– Piątek o siódmej. To była łatwizna.

– Mam nadzieję, że jada sałatki.

– Jada. Zapytałem.

Maddie wybuchła śmiechem.

– Nie wiem, jak ty to robisz. Następnym razem załatw randkę dla mnie, dobrze? Nie wychodziłam nigdzie prawie od pół roku.

– Wybierz jakiegoś chłopaka. – Paul przejechał dłonią po włosach.

– *Okay*, co powiesz o tym? – Maddie spojrzeniem wskazała mu mężczyznę zmierzającego do siłowni.

– Nie, za niski.

– A ten? – pokazała mu chłopaka przy recepcji.

– Za stary.

– A co powiesz o tamtym?

– Za muskularny.

– Co?

– Na pierwszy rzut oka widać, że ma obsesję na punkcie swojego ciała. Chyba tego nie chcesz?

– Dobra, a ten?

– Nie. Nie. Nie – Paul wskazał palcem na pozostałych facetów w pomieszczeniu. – Żaden z nich nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

Odchrząknął, próbując zwalczyć suchość w gardle.

– Ponadto ze swoim niebezpiecznym backhandem wystraszysz wszystkich tych słabeuszy.

– Tak, mój backhand był niebezpieczny zwłaszcza dziś, nieprawdaż? – Maddie uniosła brwi.

– Przyznaj się, grałeś tak, gdyż po prostu chciałeś popatrzeć na Moore'a w roli Bonda.

– Lepiej uważaj, następnym razem wygram i pójdziemy na najbardziej kliwie romansidło, jakie uda mi się znaleźć w kinach.

– Nienawidzisz takich filmów.

– Tak, ale ty bardziej – Maddie uśmiechnęła się i zatrzepotała rzęsami.

Paul rzucił w nią swoim ręcznikiem. Wyciągnęła rękę, aby go złapać, ale jej się nie udało.

– Poddaję się. Spotkamy się u mnie za godzinę. Ty prowadzisz – wzięła torbę i ruszyła w kierunku drzwi.

– Z góry składam zamówienie. Pepperoni.

– Dobrze – zatrzymała się na chwilę i spojrzała na niego.
– Umieram z głodu.

– A myślałem, że dziewczyny żywią się tylko sałatkami.

– Paul przewiesił swoją torbę przez ramię.

– Jak możesz nazywać mnie dziewczyną? – Maddie popchnęła drzwi, rzucając mu ostatni komentarz.

Wyszła na zewnątrz.

Paul zaśmiał się do siebie, kiedy Maddie zniknęła mu z oczu. Podniósł z ziemi ręcznik. Zmarszczył czoło i wepchnął go do torby. Na podłodze zauważył jakiś błyszczący przedmiot. Klucze Maddie. Pochwycił je i pobiegł w kierunku drzwi.

Maddie stała przy swoim samochodzie i jedną ręką grzebała w torebce. Jej kasztanowe włosy błyszczały w letnim słońcu, które sprawiało, że wydawały się płonąć. A może za to wrażenie odpowiadał jej nastrój. Nawet z odległości kilku metrów Paul mógł dostrzec, że coś do siebie mamrocze. Stał za jej plecami i podsunął klucze pod nos.

– Zgubiłaś coś?

Wyrwała klucze z jego ręki.

– Chyba dziś nic mi nie wychodzi. Najpierw mecz, a teraz to. Wszystko po prostu rozplywa mi się przed oczami.

– Wszystko, tylko nie ja – Paul rozpostarł przed nią ramiona.

– Wow, co za szczęście.

Uśmiechnął się, słysząc rozdrażnienie w jej głosie.

Pokręciła głową i spróbowała włożyć kluczyk do zamka. Nie udawało się.

Chłopak wyciągnął klucze z jej dłoni, wybrał właściwy i wsunął go w dziurkę.

– Całe szczęście, że ja dziś prowadzę. – Otworzył jej drzwi, wziął za rękę i pomógł wsiąść do środka.

– Bardzo proszę, szanowna pani.

– Dziękuję panu.

– Dobrze, że trafiłaś w siedzenie – wyszczerzył do Maddie zęby w uśmiechu, podniósł jej dłoń, a następnie ucałował ją. Dokładnie w mały pieprzyk.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Przez ciało Paula przeleciał dreszcz: poczuł coś dziwnego i nowego. Ich oczy spotkały się. W jej źrenicach dostrzegł złote plamki. Plamki, których dotąd wcześniej nie zauważył. Opuścił jej dłoń.

I tak się zaczęło. Zwykła chwila, za którą nastąpiły kolejne zwykłe chwile. Moment, który przypominał wieczność.

– Fakt. Jesteś uprzejmy. I pomyśleć, że nawet nie jestem blondynką. – Maddie uśmiechnęła się samymi ustami i spojrzała przed siebie.